

PLOMYCZEK

ROK 29

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

17. VI. 1951

Nr 42



Fot. T. Bukowski

Setki kwiatów musi odwiedzić pszczoła, żeby
uzyskać jedną kroplę nektaru

Cena 45 gr

Kolega Kajtuś Mucholapski

Tak go właśnie nazwali: Mucholapski, chociaż wcale much nie łapał, tylko nie rozstawał się z siatką na motyle. Sam ją sobie zresztą zmajstrował z cieniutkiej gazy, drutu i tyczki. Przyszedł z nią pierwszy raz i zaraz Jakubek wrzasnął:

— Patrzcie, patrzcie! Kajtuś wybiera się na polowanie, na muchy będzie polował...

Kajtuś najpoważniej chciał wytłumaczyć, że wcale nie o muchy chodzi, tylko o zbiór motyli do gabinetu przyrodniczego, ale Wiesia pisnęła z kąta:

— Mucholapski, Mucholapski! — i nie było co poważnie tłumaczyć, bo wszyscy razem z Kajtusem zaczęli się śmiać.

Ale ten „Mucholapski” już został. Kiedyś przychodzi Feluś, prze-

wodniczący kółka przyrodniczego, i powiada:

— Kolegę masz. Też łapie muchy. I to jak jeszcze, proszę siadać!

Kajtuś bardzo się zainteresował.

— Z której klasy?

Felek na to:

— Nie chodzi do szkoły.

Zaraz go wszyscy obścibiali:

— Mały taki? — pytają.

Felek kiwa głową:

— Mały, malutki — a minę ma, jakby zaraz miał pęknąć ze śmiechu.

Kajtuś wcale na to nie zwraca uwagi. Felkowi w ogóle do śmiechu wiele nie potrzeba.

— I siatkę ma? — dopytuje się.

— Eeee nie, siatki nie ma. O wiele sprytniej łapie owady niż ty...

Bardzo to było ciekawe, Kajtuś pociągnął Felka za rękaw:

— Słuchaj, mógłbyś tak zrobić, żebyśmy się poznali?

— Pewnie, że mógłbym.

— Kiedy?

— Dziś. Po co czekać?

Ostatecznie wybrali się całą gromadą na to spotkanie. Idą przez pole.

— Tu się umówiłeś?

— Nie, dalej.

Wyszli daleko za pole, już są gdzieś koło torfowiska.

— Tu?

— Aha, tu.

— Przecież nie ma nikogo — rozglądają się dokoła.





— Jest.

— Gdzie jest?

— O, proszę, tu — Feluś przyklęknął na ziemi i pokazał wszystkim małą roślinkę o okrągłych listkach, na długich ogonkach ułożonych wokół łodygi. Na listkach sterczały jakby różowe włoski, na końcu których srebrzyły się malutkie kropelki płynu. Jednym słowem, pokazał rosiczkę.

— Ej! Żarty robisz, Felek?

— Trochę żarty, trochę nie. Po-czekajcie chwileczkę.

Czekają. I nagle jest: niewielka mucha, przelatując obok, zawadziła o rosiczkowy liść. Zawadziła i została już na nim.

— Przylepiła się czy co? — szepnął Kajtuś.

Przyjrzał się lepiej i zrozumiał:

— To wcale nie są różowe włoski na liściach, to takie włoskowate gruczołki, które wydzielają lepki płyn...

Tak było naprawdę. Włoskowate gruczołki otulały muchę. Nie mogła się już wcale ruszać. Cała była oblepiona.

— No, nie mówiłem — pokiwał głową Feluś. — Łapie rosiczka muchy czy nie?

— Aha — bąknęli — ona je potem chyba wysysa...

Postanowili obserwować rosiczkę — naprawdę dziwna roślina. Owadożerna. A najwięcej interesował się nią Kajtuś Mucholapski.

— Nic dziwnego: kolega — żartowali z niego.

Kajtuś szperał w książkach, szukał jakichś wiadomości o roślinach owadożernych. Nazbierał ich немало; pomagali mu w tym zresztą.

I nie mówili już teraz po prostu: rosiczka, tylko rosiczka okrągłolistna, bo okazało się, że mamy aż trzy gatunki tej rośliny (dwóch pozostałych, pośredniej i długolistnej, nie widzieli wcale, bo niezmiernie są rzadkie).

— No, dobre było spotkanie, nie? — dopytywał potem Felek.

Śmiali się znów, ale zgodnie przytakiwali:

— Dobre było.

— Ciekawe było! — krzyczał najgłośniej Kajtuś Mucholapski.

ROZMOWA PSZCZOŁKA

Pszczółka brzuszkiem kwiat
rozpycha,
po pas weszła do kielicha.
— Co ty robisz?

— Też pytanie!
Pylek zbieram, drogi panie.
— Lecz tak włożyć w kwiat z nogami?

W te atłasy? W ten aksamit?
— O! Z nogami! Moja nóżka
nie jest groźna dla kwiatuszka!
Jestem pszczołka — ogrodniczka,
zbieram pyłek do koszyczka.
— Do koszyczka? Co ty pleciesz?
Nie uwierzę nigdy w świecie.
— No, to nie wierz. Mam
zmartwienie.
Lecę. Spieszę się szalenie.
— Dokąd lecisz?

— Ja? Do ula.
Ul w kwitnący sad się wtula.
Ul to nasza jest spółdzielnia,
którą praca urzetelnia.
— Pszczółko, pszczółko bursztynowa!
Nadzwyczajny z ciebie owad,
ale w strzępach masz skrzydełka...
— Tak, bo praca to nie mgiełka.
— Ale wiesz co, złoto moje,
że się ciebie trochę boję...
— Mnie, malutkiej?

— Tere-fere.
Żądłem klujesz jak rapierem.
— O tym wiedzą tylko tacy,
którzy pszczołkom brużdżą w pracy.
Kto nam sprzyja, temu w serce
miód wsączamy po kropelce.
— Pszczółko, pszczółko
bursztynowa,
nadzwyczajny z ciebie owad...
Znowu depczesz po kwiatuszku!
Spójrz, znów pyłek masz na
brzusku!

— Wiem. To życia jest zadatek.
Strząsnę go na drugi kwiatek...
Kiedyś z tego, damę słowo,
będzie pyszny, słodki owoc.
Odleciała — bzzz — z kwiatuszka
złota kropka, złota smużka.



Rys. R. Sidorowski

J. Kierst

WIATROWA POGODA

Nie miał wiatr szczęścia do Lipo-
wej Wólki, nie miał. Wszyscy tam
na niego narzekali.

Wojtaszka, że piszczy w kominie.

Michalczyzna babka, że wyje za
ścianą.

Stary Duda, że mu skomli w szpa-
rach.

Tylko małemu Marcinkowi wiatr
się podobał.

— Matusiu, a co to takie fiuka
pod okienkiem?

— Fiuka on tam, fiuka, zatrace-
niec! Od tygodnia już tak dokazuje.
Żyto aby... aby... zarutko już ma za-
kwitnąć. Ale jak zakwitnie, to co?
Wszystką pylinkę ten fiukacz zmie-
cie i po polu rozwieje!

— A to niech rozwieje...

— Oj, syneczku, głupi z ciebie
skrzat a głupi. Jak pylinkę rozwieje,
to się ziarno na chleb nie urodzi.

Ale Marcinek nie umie się mart-
wić. Wspomniała matka o chlebie,
więc woła:

— Mamo, dajcie mi chleba, telo
z miodusiem!

A wiatr już uciekł ze wsi. Już po
gościńcu z piaskiem harcuje. I przy
tych harcach tak sobie myśli:

„Może to i prawda, że ja piszczę,
że wyję, że skomlę, że labidzę. Może
bym się od kogo jakichś ładnych
piosenek nauczył. Ale od kogo by
tu?”

Kokoszka, co tam na gościńcu
wytrzęsionych z woza ziarenek szu-
kała, podniosła lebek i zagdakała:

— Od ko—ko—ko—ko—ko—ko
ko—ko—gutów—gutów!

Wiatr aż się poderwał z uciechy.
Poleciał więc w najbliższe opłotki
i huknął:

— Hej, mości kogucie! Nauczę
mnie po waszmościnnemu śpiewać!



A kogut, jak to kogut: zamachał skrzydłami, wyciągnął szyję i wrzasnął:

— Wynoś się, smarkaczuuuuuuu!

Wynoś się, smarkaczuuuuuuuuuu!

Wiatr znów się poderwał, ale teraz ze złości.

— Ej, bo jak ci gwizdnę w ogon!

Rzucił się na koguta, wytarmościł go za ogon, wszystkie pióra nawiał mu na dziób i uciekł.

Uciekł aż na moczary pod olszami i tam znów huczy a huczy.

— Kto mnie nauczy śpiewać? Kto mnie nauczy?

Na moczarze poruszyła się czarna woda.

— My. Kumy. My. Kumy... re—re—re—re—re—re—rechotki... re—re—re—re—re—re—rechotki...

Ale wiatr nieuprzejmie fiuknął:

— Fii, rechot z błota!

Fiiiii, rechot z rowu!

Fiiiii, to nie dla mnie...

Fiiiii-fiiiii... cóż znowu!

I poleciał w pole.



A w polu stała straszka na wróble.

Straszka — to była żerdka. Na żerdzi szeroka kiecka, na poprzeczce różowy kaftanik, na wierzchołku żerdki kapelusik z kwiatkami.

Straszka bardzo lubiła się chwalić.

Więc też tak sobie przyśpiewywała:

— Jestem sobie panna miła,

zalecaków mam co siła.

Są i ze wsi, są i z miasta,

jest-ci tego z półtorasta!

Usłyszał ją wiatr i myśli:

„Oj, od tej panny to mógłbym się piosenek nauczyć. Ale się trzeba godnie przyozdobić, aby chciała ze mną gadać”.

Ale jakżeż to wiatr się przyozdobi?

Nie odzieje się pięknie, bo i tak to ubranie na nim zaraz się roztarłosi. Nie przyczese się gładko, bo i tak zaraz włosy mu się zwichrzą. Tylko może się wypachnieć, wonnością nasycić, zapachem na wskroś nasiąknąć.

A no, dobrze.

Poleciał wiatr w grabową aleję i woła:

— Graby, graby, dajcie mi pachnidel, bo lecę do panny, co miała półtorasta zalecaków. Chcę godnie przed nią zaszumieć.

A graby chórem liści zaszemrały:

— Oh, jak nam smutno, że ci się nie możemy odwdzińczyć! O wczesnej wiosnie kołysałeś nasze baze, aby się pyłinki z nich niosły na siostrzane kwiaty. Latem zaniesiesz nasze dzieci-skrzydłaczki w świat daleki, aby tam znalazły kolebki pod grudkami ziemi. Aby tam wyrosły w szumiące, bujne drzewa. Dobry jesteś dla nas, dobry. A my twej

prośby nie możemy spełnić, bo pachnideł nie mamy... nie mamy...

— No, trudno. Jak nie macie, to nie macie.

Poleciał więc wiatr dalej, do lipowego zagaju.

— Lipy, lipy, dajcie mi pachnideł!

A lipy chórem liści zaszemrały:

— Jeszcze wiosna... jeszcze nasze kwiatki śpią, jeszcze woni nie mamy... nie mamy...

Poleciał więc wiatr do ogrodu, gdzie przy parkanie tłoczyły się bzowe krzaki.

Stały teraz w kwieciu. Były jak olbrzymie białe i liliowe bukiety pozatykane w ziemię.

— Krzaki, bzowe krzaki! Dajcie mi pachnideł.

A krzaki zakolysały ciężkimi od kwiatów gałązkami.

— Bierz... bierz...

I płynęły od nich fale zapachów, jak płyną fale wody po jeziorze. Jedna za drugą... jedna za drugą... Hej, naokręcał się wiatr i natarzał w tym zapachu, aż upachnił się co cud! I do panny! Spieszył się, spieszył, żeby mu ten zapach nie uciekł. Więc fiuuuuu! z takim rozszumem wpadł na pole, że pannie kapelusz zerwał, kaftanik na sęku rozdarł, a kieckę wydał jak balon.

Panna się obraziła, skoczyła w owies i nie chciała z wiatrem gadać.

Smutno się wiatrowi zrobiło, smutno i źle, i gorzko. Serdeczną gorzkością gorzko.

I już chciał do wsi lecieć, ale zobaczył, że właśnie Marcinkowa matka przyszła na pole len plewić.

Marcinek bawił się, a potem usnął na trawie.

— Ten ci to miły Marcinek tu



śpi, ten jedyny we wsi, któremu się moje śpiewanie podobało.

I poniechał wiatr swoich gwizdów — pogwizdów, swojej gonitwy, swoich dzikich harców.

Zaczął lekkuchno nad ziemią ważyć, tak lekkuchno, że aby listki dygotały.

Na tę chwilę czekał właśnie łąn żyta.

Roztworzyły się zielone, wiszące jak lzy na rzęsach żytniane kwiatki. Wysypały się z nich pylinki i złoto-zieloną chmurką zawisły nad kłosami.

A kłosa stały uroczyste, srebrne i w swym srebrnym zadumaniu lekko szeleszczące.

Marcinkowa. matka uniosła się znad łąnowego zagonka, złożyła w zachwyceniu ręce i szepnęła, cichutko szepnęła, jakby się bała mocniejszym głosem pogodę spłoszyć:

— Piękna pogoda nagodziła się na kwitnienie żyta, pię...kna...

Rys. H. Sołtan

J. Porazińska



„Odważnie, koledzy, i śmiało!
To nic, że przeszkód jest sto!
My nie spoczniemy,
aż zdobędziemy
odznakę
B. S. P. O!”



Stefek z Krakowa,
Jaś z Biezanowa,
Władek z Warszawy
i Józek z Tatr,
Antoś z Katowic,
Jurek z Mysłowic —
wszyscy śpiewają dziś tak:



Sprawny do pracy
i do obrony!
Głowa otwarta,
mięśnie jak stal!
Płynie piosenka
na wszystkie strony
i lecą słowa jej w dal:

„Odważnie, koledzy, i śmiało!
To nic, że przeszkód jest sto!
My nie spoczniemy,
aż zdobędziemy
odznakę
B.S.P.O!”

Czy to na lądzie,
czy to na morzu,
na wsi i w mieście,



wśród pól i gór,
w letnim obozie,
w każdym pochodzie
zgodny rozlega się chór:

„Odważnie, koledzy, i śmiało!
To nic, że przeszkód jest sto!
My nie spoczniemy,
aż zdobędziemy
odznakę
B.S.P.O!”

K. Szpalski i M. Załucki

Jak przed 200-u laty gaszono pożary

Czerwony odbłask pożaru, ujadanie psów i głośnie nawoływania podniosły na nogi uśpioną już od paru godzin wioskę.

Ludzie wybiegali z chat boszo i w białiznie.

Kobiety lamentowały tuląc do siebie płaczące dzieci, mężczyźni usiłowali wyprowadzić bydło z obór, lecz przestraszone zwierzęta opierały się jak na złość. Przytomniejsi biegli do studzien, ale stłoczeni tam ludzie wyrwali sobie napełnione wiadra — a woda rozlewała się, nim doniesiono ją do miejsca, skąd buchały płomienie.



Wiatr coraz szerzej rozrzucał snopy iskier, które z sykiem spadały na sąsiednie słomiane strzechy.

Z drewnianego kościoła na wzgórzu jęczały alarmujące dzwony. Jakby zawodziły i wołały:

— Ratunku! Gore!... Gore!...

Nagle, któryś z młodych parochczaków wskoczył na konia i popędził w stronę, gdzie szalał największy ogień. Tętent końskich kopyt wybił się ponad inne głosy. Może

dlatego, że ci, którzy dostrzegli jeźdźcę, uciszyli się. Nadzieja wstała w przerażone serca...

Oto wystarczy — według wierzenia ludzi — by chłopiec na koniu objechał po trzykroć galopem dokoła ognia — a pożar sam ugaśnie.

Lecz wysiłki śmiałka były daremne, choć w zapamiętaniu uniesienia krążył już trzy razy po trzykroć wśród dymu i płomieni. Wreszcie koń wyrwał niespodzianie i poniosł jeźdźcę w stronę łąk. A pożar szalał i ogarniał nowe zabudowania.

Wśród ogólnego zamieszania ktoś zawołał donośnie:

— Talerze! Ludzie, talerze!

Talerze znajdowały się na przechowaniu u wójta. Przyniesiono je pospiesznie.

Były to zwyczajne, drewniane talerze, każdy po jednym razie używany do jedzenia, które następnie pomalowano w piękne figury. To malowanie musiało odbywać się koniecznie tylko w piątek, po południu, nowymi piórami i świeżym atramentem. Talerze te, według wierzeń ludzkich, należało kolejno do trzech razy wrzucać w ogień, co miało z pewnością zapobiec dalszemu rozszerzaniu się pożaru.

Lecz — niestety! Nie pomogły i talerze! Pożar, który wybuchł w oberży, objął całą wioskę. Dotarł do młyna i do kościoła na wzgórzu. Wtedy umilkły dzwony wzywające ratunku — bo, zresztą, nie było już czego ratować.

Tak działo się dwieście lat temu w Niemczech, to znaczy na zachodzie, przodującym w tym czasie w postępie i oświacie. Dnia 24 grudnia 1742 roku książe Weimaru Ernest August wydał zarządzenie, by każdy wójt na wsi, a burmistrz w mieście, posiadali zapas drewnianych talerzy, malowanych w specjalny sposób, mających rzekomo zaklętą moc bronienia przed pożarami.

I dziś jeszcze nieostrożność i nieuwaga ludzka powodują często groźne pożary. Jednak zmieniła się obrona przed pożarami. Ochotnicze i zawodowe straże pożarne zaopatrzone w motorowe pompy, samochody i inne urządzenia — stoją w pogotowiu.

W Związku Radzieckim strażacy zaopatrzeni są w najnowocześniejszy techniczno-chemiczny sprzęt maszynowy. Niektóre straże mają nawet radiowe stacje nadawczo-



W Polsce istnieją ochotnicze i zawodowe straże pożarne, które ofiarne bronią dobytku przed pastwą płomieni i to nie tylko na lądzie, bo mamy nawet statki pożarnicze.

Czy wiecie, że takie statki mają specjalne działka, z których strzela się... wodą!

Bardzo łatwo jest wywołać pożar — za to trudno go ugasić i trudno naprawić szkody wyrządzone przez ogień. Pamiętajcie, że każdy nieopatrzenie wywołany pożar to niszczenie dorobku społecznego, to opóźnienie wykonania Planu Sześcioletniego.

Ostrożnie z ogniem!

Rys. G. Majewski

K. Witwicka



-odbiorcze w remizach i na samochodach. Istnieją tam również lotnicze straże pożarne. Mają samoloty posterunkowe, strażaków-spadochroniarzy, bomby napelnione chemicznymi środkami przeciwpożarowymi, a także specjalne samoloty transportowe dla przewożenia sprzętu strażackiego.

GNIAZDKA



— Pogodne, błękitne niebo,
skowronku, o gniazdko się nie bój.
Pocisk ci gniazdko nie spali,
nie będziesz ćwierkiem się żalił.

Ojce nie wpuszczą w łan wojen,
bezpieczne gniazdeczko twoje.
Pogodne błękitne niebo,
skowronku, o gniazdko się nie bój.

Nie przerwie wojna kul świstem
pogody nocy gwiazdzistej.
Ojce noc piękną obronią,
gniazda słowicze osłonią.

Wśród głógów, bzów i jaśminów
małe słowiczki nie zginą.
Nie spalą pociski drzewa,
słowiczku, nie trwóż się. Śpiewaj!

Rys. R. Sidorowski

H. Januszevska

Waligóra

W starych bajkach słyszeliście nieraz o takich siłaczach, jak Wali-góra i Wyrwidąb. Pamiętacie prze-cież, jak to Wyrwidąb jednym szarp-nięciem wyrwał dęby z korzeniami, a dla Waligóry, tego z bajki, fraszką było przesunąć górę ziemi.

Ale to było w bajce, a naprawdę, dziś?!

Dziś zbudowano już takie maszy-ny, które potrafią za jednym zama-chem przerzucić wagon ziemi. Po-trafią także same przechodzić z miejsca na miejsce.

Nazywają te maszyny „chodzący-mi koparkami”.

Gdzież to pracują te „chodzące koparki”?

Posłuchajcie.

Postanowiono w Związku Ra-dzieckim połączyć dwie wielkie rze-ki: Wołgę i Don. Aby tego dokonać, trzeba przekopać kanał długości 101 kilometrów: od Stalingradu nad Wołgą do miasta Kołacz nad Donem.

Na całej tej przestrzeni kipi pra-ca. Setki maszyn-pogłębiarek dużymi czerpakami zagarniają ziemię, by ją odwalić na bok. Wzdłuż kanału tworzy się wysoki wał. Setki cięża-rówek wywożą ziemię z głębokich wykopów, gdzie będą pobudowane tamy i śluzy.

Szerokim wąwozem rozciągnął się kanał po stepie.

W przyszłym roku na wiosnę ka-nał ten zamieni się w splawną rzekę, po której popłyną statki rzeczne i morskie.

Moskwa stanie się portem pięciu mórz. Ze stolicy Związku Radzie-ckiego będzie można popłynąć i do Morza Białego, i do Morza Bałty-ckiego, i do Morza Azowskiego, i do Czarnego, i do Kaspijskiego.

Sprawdź to na mapie!

Takie ogromne budowy wymagają wiele pracy. Pracę tę wypełniają w większej części takie, jak z bajki, a przecież prawdziwe maszyny-Waligóry, „chodzące koparki”.

„Chodząca koparka“ wygląda jak wielopiętrowy dom z oknami, bal-konami, schodami.

Czerpak, który ostrzymi zębami wgryza się w ziemię, nabiera jej za każdym razem tyle, ile pomieściłby wagon towarowy!

Koparka ta zastępuje pracę 7000 ludzi. A jest obsługiwana przez pię-ciu. Czterech pilnuje czterdziestu znajdujących się w maszynie moto-rów, a jeden człowiek — naciskając odpowiednie guziczki i przesuwając dźwignie — kieruje maszyną.

A więc pięciu ludzi razem z ma-szyną wykonuje pracę za 7000 ludzi.

Taki to jest ten prawdziwy, nie z bajki, „Waligóra”.

wg Murzilki
opr. Kr. Pokorska

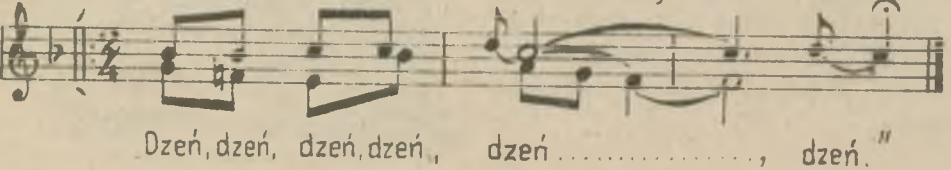
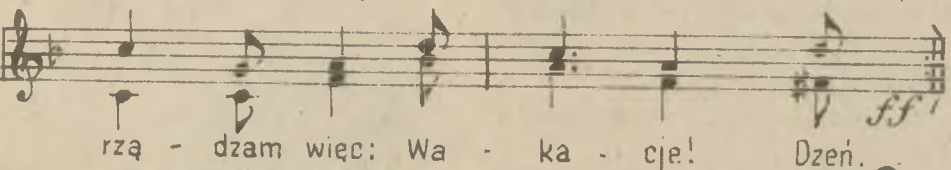
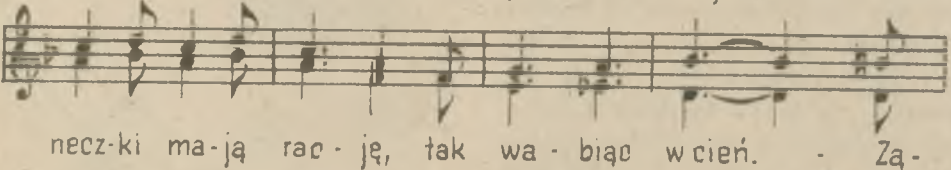
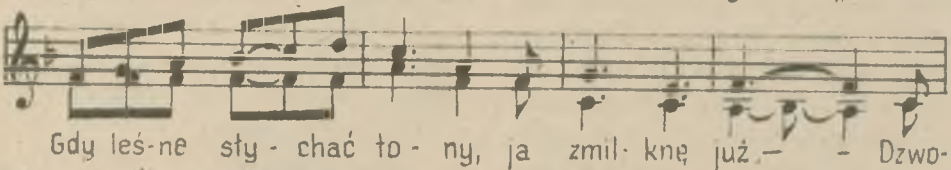
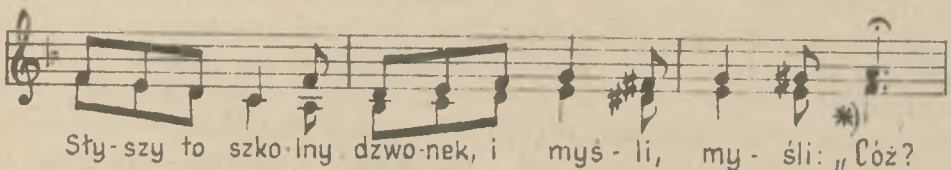
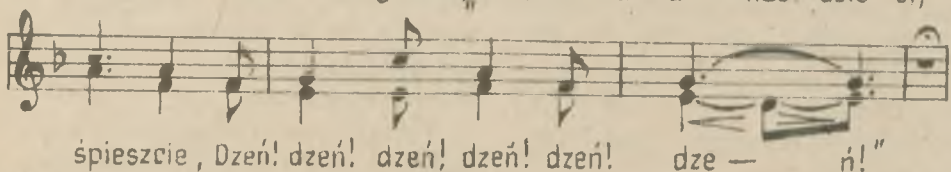
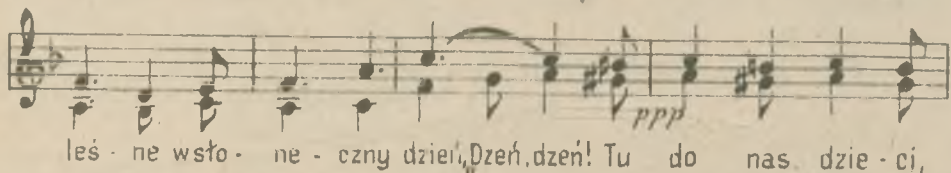
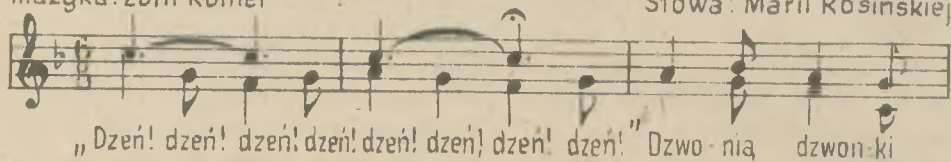




DZWONKI

Muzyka: Zofii Romei

Słowa: Marii Rosińskiej



ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU

„Łądem, powietrzem, wodą”

1. Motorniczcy tramwaju, 2. sternik na okręcie, 3. pilot na samolocie, 4. maszynista prowadzący pociąg, 5. szofer prowadzący samochód, 6. traktorzysta, 7. szofer prowadzący trolejbus.

Wszystkich odpowiedzi nadeszło 5864, w tym dobrych aż 3148.

Przeznaczenie nagród rozstrzygnęło losowanie.

Podajemy Wam nazwiska tych, którzy otrzymają książki: Pawłowska Urszula, Łódź; Łodyga Eugeniusz, Przemirów; Żurek Waltrauda, Kuźnia Raciborska; Gregorczyk Edward, Dobratycz; Mataczyński Jerzy, Lublin; Matejko Wiesław, Kraków; Weissówna Elżbieta, Staszew; Szkoła Podstawowa, kl. III i IV, Jarosławiec; Wojciech Wielgosz, Jelenia Góra; Księżyk Zofia, Warszawa; Bukowska Wiesława, Łódź; Kołodziej Norbert, Bykowina; Wojtkakówna Elżbieta, Biała Podlaska; Małek Edward, Lubliniec; Waksmundzki St., Kowalowy; Sztein Albert, Wrocław (nie podałeś ulicy); Michalski Cezary, Warszawa; Bzdziel Błażej, Poznań; Jarzembowski Andrzej, Poznań; Małolepsza Barbara, Poznań; Glinka Bogdan, Warszawa; Kulary Aleksander, Łódź; Maćkowski Ryszard, Pruszcz Pomorski; Zagawa Zbigniew, Górczyn;

Kaczmarczyk Jadwiga, Wrocław; Ruberg Hubert, Gdańsk-Wrzeszcz; Powalka Irmina, Piastów; Flejsierowicz Jan, Gdynia; Chowaniec Wanda, Jawiszowice; Taska Ewa, Cieszyn; Szpajda Mildona, Warszawa; Juchniewicz Józef, Stalowa Wola; Kusz Aleksandra, Górczyn; Gąsiorowski Roman, Łódź; Prosiński Andrzej, Łódź; Wolniak Halina, Wrocław; Stokowska Danuta, Warszawa; Wiśniewski Maciej, Warszawa; Czarniecki Józef, Czechowice; Burtowy Krzysztof, Tarnowo Podgórne; Wawrzynek Jerzy, Czarnowasy; Nagiel Jan, Lębork; Polczyk Urszula, Świętochłowice; Cybulanka Krystyna, Łódź 12; Piekarska Łucja, Komorów; Kowalczykówna Ewa, Raszków; Rybojad Jan, Warszawa; Bednarek Barbara, Kłomnice; Michalska Jadwiga, Błaszki; Rusinkiewicz Barbara, Łódź; Bąbel Maria, Ostrowiec Świętokrzyski; Placzek Barbara, Chorzów; Wepsić Teresa, Werynia; Dobieżyński Leszek, Lublin; Palowna Maria, Bużanów; Chłopcy z kl. IIIb Państw. Szkoły Ogólnoksz., Pabianice; Gajewski Zbigniew, Sopot; Cholaszczyński Mirosław, Bukowiec; Hanc Wojciech, Wilczyn. — Książki zostaną rozesłane pocztą. Prosimy o napisanie nam czy doszły w porządku.

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata i kolportaż: Oddział P. P. K. „Ruch” w Poznaniu, ul. Grunwaldzka 19. Prenumerata wynosi miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4.50. — Wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 20 każdego miesiąca na miesiąc (kwartał) następny. Konto P. K. O. V-5711 „Piomyczek”.

Wpłaty przekazane po 20 każdego miesiąca będą zaliczane nie od najbliższego pierwszego, a na następny miesiąc.

Egzemplarze z poprzednich miesięcy można zamawiać w P. P. K. „Ruch” odpłacając z góry na zamieszczone powyżej konto z podaniem na przekazie tytułu czasopisma, ilości egzemplarzy i numerów.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: K. M. SOPOČKO.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

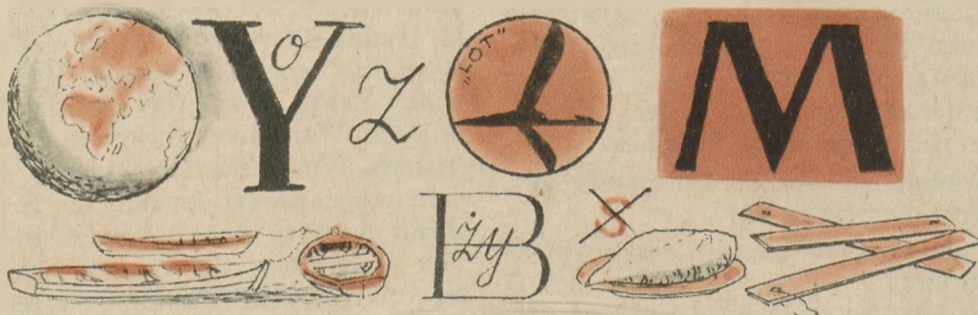
Zakłady Graficzne im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu — K-2-14722 — 1716/V/51.





?? ? CHWILĘ
OMYŚL ???

REBUS



SZARADA

Pierwsze, drugie — zjada liście
i tym szkodzi oczywiście.
Drugie, pierwsze — miasto stare,
Prośna przez nie toczy fale.

ZAGADKA 2

Czerwone, pachnące
pod listki się kryją.
Jak nazbierasz dzbanek cały,
będzie deser doskonały.

ZAGADKA 1

Wprost — przystań okrętów
nad rzeką lub morzem.
Wspak — ślad, po którym
znaleźć zwierza możesz.



Rozwiązania z nru 41: rebus —
Sport to zdrowie.



To nie jest figura szachowa, ale mały morski konik. Jest to ryba żyjąca w morzach podzwrotnikowych. Jej głowa przypomina głowę konia. Rybka ta ma jeszcze inne dziwne cechy. Jedna z nich — to chwytny, jak u małpy, ogon, który pozwala jej czepiać się wodorostów, wśród których żyje. Druga cecha, znacznie dziwniejsza — to podobieństwo do... kangura! Tak jak i on nosi swoje małe w kieszeni na brzuchu, z tą jednak różnicą, że (jak pamiętacie) u kangurów matka pielęgnuje małe, a u morskich koników potomstwem opiekuje się ojciec nosząc je we własnej kieszeni.